

Pańska Polska (w ciągłej budowie)

12 listopada 2016

Droga Chaławy-Piotrowo, okolice wielkopolskiej Brodnicy, gdzie za neogotyckim kościołem mieści się pusty grób Józefa Wybickiego, wrzesień 2016 r. Droga – to brzmi dumnie. I już mocno na wyrost. Asfalt jest zryty i solidnie podniszczony na długich odcinkach. Tak wygląda mnóstwo lokalnych wąskich dróg w tej okolicy. Korzystają z nich nie tylko mieszkańcy coraz bardziej wyludnionych miejscowości, ale w znacznej mierze intensywnie użytkuje je także lokalny latyfundysta, właściciel sporej części dawnego PGR Manieczki. A zatem po tym dogorywającym asfalcie, położonym pewnie jeszcze w latach 60. XX wieku, przemieszczają się potężne ciągniki, siewniki, pługi zagonowe jednobelkowe, przyczepy ciężarowe, agregaty uprawowo-siewne, agregaty ścierniskowe podorywkowe, transportery do zbioru kapusty, brony talerzowe, rozrzutniki obornika, szuflo-krokodyle, zęby robocze, wały posiewne uprawowe, ładowacze czołowe i wiele, wiele innego sprzętu, o którym nie musimy nic wiedzieć, gdy w większym lub mniejszym mieście na straganie albo między sklepowymi półkami przebieramy między pieczywem, nabiałem, owocami, wędlinami, warzywami i dietami oferującymi lepsze życie, dobry metabolizm i prawidłowe wypróżnienie. Albo po prostu gwarantując sobie dalsze trwanie w ramach codziennej egzystencji.

Jest początek września, nigdzie się nie spieszę, obserwuję znój i odpoczynek wsi w czas babiego lata. W gieesie, który dawno przestał być gieesem, bo został sprywatyzowany i daje solidny dochód żyjącym z kilku takich sklepów właścicielom, ściskamy sobie ręce z lokalnym bywalcem, który patrzy na świat przez wielkie okulary z grubymi szklami korekcyjnymi i chucha pogodnym piwnym śniadaniowym chuchem. Nigdzie się nie spieszy, zna wszystkie lokalne sprawki, żyje w symbiozie ze sprzedawczyniami i sklepowym zeszytem, a uśmiech ma tak

życzliwy, że nawet czarne pieńki zębów w rozdziawionych ustach przekonują, iż żyjemy na najlepszym ze światów. I ma to potwierdzenie nawet w tym sklepiku. Niegdyś wszystkie towary oddzielały tam od klienta godne PRL-owskie lady: ta zwykła i ta chłodnicza. A za chlebem, gorącym, niekrojonym, sycącym i smacznym stać trzeba było w długiej kolejce – aż przywiozą, aż wydadzą, kto ile zamówił. Dziś w sklepie jest samoobsługa, chipsy o wielu nie-smakach i kapitalizm.

Wrzesień, polski wrzesień. Nie spadają bomby, nie nurkują Sztukasy – lichwiarze oferują pieniądze na publiczną, ponoć darmową szkołę. W całej okolicy jest dużo reklam chwilówek, jakieś lokalne firmy, do tego chyba Provident, jakaś szmata reklamowa Bociana na ceglany pruskim murze zabudowań dawnego dworca kolejowego. Ludzie kupują za lichwę przyszłość swoich dzieci: dzieci chcą mieć nie tylko książki, chcą mieć buty i gadżety, są przystosowane do życia w realnym liberalizmie i jego konsumpcji, wiedzą, że prestiż buduje się na posiadaniu, że być to mieć, a kto sądzi inaczej, temu się stawia brzydkie pomniki, zaklina się go rondami, by nie wygrażał z zaświatów, i sprawa załatwiona. Zatem lichwa zabiera rodzicom ich marny zarobek, ich czas na sen i odpoczynek, ich ludzkie życie. By nawiązać do Szekspira: co odkroić od kości? Skąd wziąć funt ciała? Skąd dokąd do krwi ciąć żywe mięso? Ile kilogramów człowieka? Ile procent duszy? Jest piękne babie lato, lichwiarze oznaczyli okolicę, ludzie szukają pieniędzy – a przecież wiele rodzin i tak dostaje kasę od swoich bliskich, którzy wyjechali za granicę. A jednak nie wystarcza, bo zarabia się mało, bo dzieci chcą więcej, bo stare auto żre, a autobusy i pociąg prawie nie jeżdżą.

Na tej drodze wszystko widać. Rowerzyści w kufajkach, z pracy i do pracy. Kobiety z siatkami na rdzewiejących damkach. Dużo sprowadzonego z Niemiec szrotu. A raz po raz, najrzadziej, duże drogie samochody na bocznych, poniszczonych do cna publicznych drogach polskiej rzeczywistości. Wszystko, wszystko na wsi dobrze widać. Jak w miniaturze widać, jak

rośnie pańska Polska, jaką nicością jest prowincjonalne państwo, jaki dystans dzieli tych, co odrywają karteczki od chwilówkowych ulotek od tych, co mieszkają w pobudowanych niedawno w okolicy naprawdę wielkich domach; widać, jaki dystans dzieli tych, co choćby u diabła kupią złotówkę, by oddać dwa złote, od menedżerów i prezesów, co bawią się czasem w dworach odrestaurowanych jako hotele.

A że rodzime archetypy są oparte na magnacko-szlacheckiej mitologii, to pańska Polska w ciągłej budowie, z jej rozwarstwieniem, przyzwoleniem na cywilizacyjną atrofię rejonów, w których żyją ludzie eksploatowani przez bogatszych, właściwie nie dziwi. Przepoczwarczenie polskości, jakie się wydarza wskutek zderzenia realnego kapitalizmu ostatnich dekad z narodową obyczajowością, dość chyba jednak naskórkowo zmienioną przez realny socjalizm, nie pozostawia złudzeń: budujemy kraj oparty na silnej hierarchizacji powstałej w wyniku rozwarstwienia. O ile 500+ stanowi pewnego rodzaju korektę, czy może nawet wentyl bezpieczeństwa dla systemu pańskiej Polski, to daleko stąd jeszcze do zmiany samoświadomości społeczeństwa i jego wizji porządku społeczno-gospodarczego. Publicystycznym skrótem: dopóki Polki i Polacy nie odkryją na nowo pożytków płynących z egalitaryzmu i etatyzmu, dopóki będą się samozatruwać ksenofobią, to nie wydarzy się żadna dobra zmiana jako głęboki proces społeczny i państwowy. Chore jest także to, że znaczna część elit współczesnej Polski uwielbia własny dobrobyt, ale nienawidzi państwa, choć nie śmierdzą im pieniądze podatnika. Ba, im bardziej chwala liberalizm, tym łatwiej w sytuacji politycznej koniunktury znajdują ścieżki do państwowych wodopojów.

Wiem, to, co powyżej, to znów dość ogólna konstrukcja. Tylko że to wszystko ma przełożenie na życie milionów konkretnych ludzi, na tak banalne życiorysy, że prawie nigdy ich nie widać. Przypominam sobie jak dwa, trzy lata temu, w rodzinnej wsi razem z sąsiadką wsiedliśmy do jednego z niewielu autobusów, który stamtąd wyjeżdżał. Sąsiadka jest po

sześćdziesiątce, musiała coś załatwić w miejskim urzędzie oddalonym o kilkanaście kilometrów. Było około ósmej rano. Na miejscu byliśmy może pół godziny później. Autobus powrotny był po piętnastej. Spacerowałem po miasteczku, wpadłem do znajomych, do księgarni, wypiliśmy kawę, spacerowałem nad rzeką, poszedłem do lokalnej biblioteki z dostępem do internetu. Gdy wróciłem na dworzec autobusowy, sąsiadka już tam siedziała. Ponad sześćdziesięcioletnia kobieta spędziła na tym dworcu około pięciu godzin, czekając na powrotną komunikację. Na szczęście latem, na szczęście w bezpiecznej okolicy, na szczęście o własnych siłach. Dodam jeszcze, choć to niewiarygodne: tych parę lat temu komunikacja publiczna była tam nieco mniej zwinięta niż obecnie...

Oto miara cywilizacji, miara realiów w państwie, w którym elity a to bronią wartości, a to demokracji – ale w swoim egoizmie warstwy uprzywilejowanej już dawno odwróciły się najmniej przyzwoitym otworem ciała do sporej części Polski. I co najwyżej potrafią się między sobą licytować, kto bardziej winien, kto zorganizował te uroczne zawody w zwijaniu ładu instytucjonalnego i infrastruktury publicznej w ich różnych wymiarach. Ale przecież łatwo sprawdzić, choćby w Wikipedii, kto rządził pańską Polską w poszczególnych latach; łatwo sprawdzić, kto kiedy w jakiej był partii, na jakie hasła się powoływał i jakie to skutki miało w praktyce; łatwo też sprawdzić, jak opisywali rodzimą rzeczywistość i jakie podsuwali recepty wpływowi redaktorzy, publicyści, osoby opiniotwórcze, przeróżne autorytety, specjaliści od katolickich wartości i od europejskich standardów demokratycznych.

Konsekwentnie pokazuję tylko pewien wycinek rodzimej rzeczywistości. A przecież należałoby to uzupełnić o wielkomięjską tragedię ludzką, związaną choćby z reprivatyzacją. Wszystkie te namiętności, podłość, obojętność, strach, zaszczucie, stresy wpędzające w chorobę, samobójstwa eksmitowanych, splendor władzy i pieniądza dla tych, którym

wolno było w majestacie prawa krzywdzić słabych. Tym wszystkim czuć pańską Polskę – od zadaszeń, przez salony, po jej suteryny. Wiele można by również opowiadać o większych i mniejszych miasteczkach, w których także każdy dobrze już zna swoje miejsce w szeregu i wie, ile ma rąk do uściśnięcia, a ile dup do wycałowania, żeby dostać/utrzymać pracę. Nie spodziewam się fali powrotów do Polski, choć prezydent Duda – jak rozumiem, była to raczej głęboko zakamuflowana smutna ironia – mówił coś w Anglii o szansach, jakie dają młodym start upy. I nie chodzi wcale o PiS. Po prostu mało kto wróci do państwa, które co do zasady czyni z uboższych nawóz pod dobrobyt dość nielicznych. Niezależnie od tego, kto będzie rządził pańską Polską, żadnych realnie znaczących powrotów nie będzie: dopóki nie zacznie się odbudowa cywilizacji na szeroką skalę, dopóty emigracja będzie dramatyczną koniecznością – także dla tych, którzy w krajach, gdzie uciekają od realnej polskości wcielonej w III Rzeczpospolitą, najbardziej nienawidzą innych migrantów ekonomicznych.

Egalitaryzm i etatyzm – albo dalsze zdziczenie, które nie przestanie śmierdzieć bezwzględnością nielicznych i krzywdą znacznie liczniejszych, nawet pokropione kropidłem, nawet polukrowane wielkomięską paplaniną o liberalnej demokracji. Egalitaryzm i dobrze pojęty etatyzm – albo przeklęta pańska Polska, jej wieczne sobkostwo, sobie-pańskość, „wzbogacone gburostwo” i wsobność.

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: NowyObywatel.pl